

Rozmowa z **Jerzym Leonowiczem**, mieszkańcem Koszalina, uczestnikiem Powstania Warszawskiego.

- Jak zaczęła się Pana przygoda z konspiracją?

- Od wiosny 1943 roku należałem do różnych organizacji młodzieżowych, a w 1944 roku wstąpiłem do Szarych Szeregów. Prowadziłem zastęp "Zawiszaków"- było nas kilku chłopaków z podwórka. Miałem wtedy 16 lat.

- A skąd Pan się dowiedział o wybuchu powstania? Dotarli do Pana jakieś wieści jeszcze przed godziną W?

- Wiadomo było że powstanie wybuchnie. Mówiło się o tym na różnych spotkaniach, była to taka "szepczana propaganda". AK ogłosiło już stan pogotowia, czuło się, że coś wisi w powietrzu. Dla Szarych Szeregów nie planowano żadnych działań na wypadek wybuchu powstania. Uważano że jesteśmy za młodzi by walczyć.

- To się miało rychło zmienić, gdy rozgorzały walki brakowało m.in. łączników i sanitariuszek. Ale na co Pan i koledzy liczyliście, biorąc udział w powstaniu? Na wyzwolenie Warszawy?

- Jeszcze przed powstaniem dyskutowałem z moim wujem, żołnierzem I wojny światowej. Gdy usłyszał o planowanym wybuchu powstania powiedział: "Wybijcie sobie chłopcy z głowy powstanie. Z czym na Niemców? Nie macie czołgów, artylerii. Całe uzbrojenie nadaje się na dywersję, nie na otwartą walkę zbrojną?". Otóż powstanie miało trwać 3-5 dni, w tym czasie miały przyjść wojska sowieckie i Armia Berlinga. To dla nas było niemal pewne, bo takie informacje często nadawało Radio Moskwa i rozgłośnia im. Tadeusza Kościuszki. Powstanie nie było dla nas romantyczną przygodą, to był zryw, patriotyczny obowiązek.

- Więc nastął 1 sierpnia i wybuchło powstanie. Co Pan wtedy zrobił?

- Mieszkałem z matką i młodszym bratem na Żoliborzu, tam powstanie szybko się skończyło. Nie udało się pierwszego dnia zdobyć powstańcom ani Cytadeli, ani Dworca Gdańskiego i innych ważnych obiektów. Siły atakujących były zbyt szczupłe w porównaniu z obroną Niemców. Dlatego oddziały dowódcy Żoliborza (czyli okręgu III) płk. "Żywiciela" wycofały się wieczorem 1 sierpnia do Puszczy Kampinowskiej. Po dwóch dniach powrócili na wyraźny rozkaz gen. "Montera" do walki. Nie mogłem już dłużej usiedzieć w domu, wziąłem trzech moich kolegów, zapakowaliśmy prowiant w plecaki, zabraliśmy wygodne buty i ruszyliśmy szukać powstańców.

- Mama pewnie była wystraszona takim pomysłem?

- Matka powiedziała że za Boga mnie nie puści, ale zagroziłem jej że i tak ucieknę. Byłem dość samodzielny. Mieszkałem w budynku niedaleko Cytadeli, z chłopakami ruszyliśmy w stronę ul. Słowackiego, a tam wypatrzyliśmy biegnącą grupę powstańców. Ruszyliśmy za nimi i po chwili do nich dołączyliśmy. Wbiegliśmy razem na poddasze budynku niedaleko ówczesnej fabryki Opla. Na ulice wjechały niemieckie czołgi, które powstańcy obrzucili granatami. Oddział, do którego się zaczepiliśmy należał do 9 kompanii dywersji polowej ?Żniwiarz?. Jej dowódcą był porucznik Morawski ?Szeliga?. Oficjalnie przyjęto nas na stan kompanii dnia 9 sierpnia, wtedy tak naprawdę stałem się powstańcem. Nosilem pseudonim ?Żbik?.

- Jakie zadania Pan wykonywał w oddziale?

- Byłem amunicyjnym przy karabinie maszynowym, ładowałem metalowe taśmy z nabojami . Nosilem skrzynki z amunicją, granatami. Z czasem brałem też udział w akcjach bojowych.

- Ilu was było w plutonie?

- Pluton liczył 40 osób, kompania natomiast to 3 plutony. Co do uzbrojenia, to jako oddział dywersyjno- szturmowy byliśmy dobrze wyposażeni. Oczywiście nie było broni ciężkiej, czy wyrzutni PIAT, które dostarczano dopiero podczas zrzutów, ale posiadaliśmy broń długą i krótką. Najpierw miałem pistolet, potem parabellum, ale ta broń wymagała częstego i dokładnego czyszczenia. Pod koniec powstania byłem uzbrojony w granaty, parabellum zamieniłem na rewolwer Colta. Do tego doszedł karabin Mausera, miałem też zdobyczną ciepłą kurtkę niemiecką. No i oczywiście obowiązkową biało- czerwoną opaskę na ramieniu. Niestety, im dłużej trwało powstanie, tym trudniej było o broń i amunicję. Podobnie rzecz się miała z żywnością.

- No właśnie, jak wyglądało wyżywienie?

- W pierwszym okresie bardzo dobrze, karmiła nas ludność Żoliborza. Potem trzeba było radzić sobie samemu, ale i tak mieliśmy lepszą aprowizację niż cywile. Wielu z nich miało porobione zapasy na czarną godzinę które później wykorzystywali. Okolica była pełna ogródków działkowych , więc można się też było zaopatrzyć w jarzyny czy owoce. Dla mnie na przykład wyprawa na porzeczki omal nie skończyła się śmiercią, bo dostałem się pod ostrzał Niemców. Muszę przyznać że miałem w powstaniu kupę szczęścia.

- Pamięta Pan swoją najważniejszą akcję bojową?

- Mieliśmy osłaniać przemarsz oddziałów powstańczych na Starówkę, co wiązało się ze szturmem żołnierzy 9 kompanii na Dworzec Gdański. Miało to być drugie natarcie, które przeprowadzono w nocy z 22 na 23 sierpnia. Biegliśmy przez otwartą przestrzeń, Niemcy co raz wystrzelili w górę flary, w pewnym momencie odezwał się przybyły niemiecki pociąg pancerny, który pokrył przedpole serią z karabinów maszynowych. Wskoczyliśmy do pobliskiego rowu, nad głowami przelatywały nam pociski smugowe. Otworzyliśmy do Niemców ogień, ale kilkunastu naszych chłopaków poległo. O świcie się wycofaliśmy. Naszym kolejnym

zadaniem była obrona fabryki Opla. Walki były niezwykle ciężkie, ostrzał silny. Walczyliśmy z rosyjskimi żołdakami w mundurach Wehrmachtu.

- A co się dalej działo z Panem i Pana kolegami?

- Był 27 września, godziny popołudniowe. Jeszcze jasno na dworze, nie widać zbliżających się Niemców. Wraz z kolegą z podwórka ?Łosiem?, który poszedł ze mną do powstania staliśmy wtedy na czujce, reszta oddziału odpoczywała w piwnicach. Nagle rozpoczął się ostrzał z granatników i moździerzy. Pocisk przebił strop, siła wybuchu mnie przewróciła. Wstałem pomału oszołomiony, otrzepałem się z kurzu i pyłu. ?Łoś? leżał obok martwy.

- Miał Pan naprawdę dużo szczęścia. Udało się uniknąć szpitala?

- No właśnie nie. Następnego dnia miał być pogrzeb ?Łosia?, a ponieważ był moim bardzo dobrym kolegą, poszedłem zanieść smutną wieść jego rodzicom. Wcześniej stracili już córkę, która była sanitariuszką w Szarych Szeregach. Tak więc idziemy we trójkę przemykając ulicami, gdy nagle w którymś z podwórek słychać świst i huk. Odłamki pocisku wbiły mi się w okolice stawu skokowego obu nóg. Straciłem przytomność.

- Co się zdarzyło potem?

- Gdy się ocknąłem, zobaczyłem że ojciec ?Łosia? nie żyje, a matka jest poraniona. Pamiętałem że w tym budynku w piwnicy jest punkt opatrunkowy, powiedziałem kobiecie by się tam udała, a sam próbowałem się tam doczołgać. Niespodziewanie na wysokości I piętra nastąpiła kolejna eksplozja. Odłamki trafiły mnie tym razem w klatkę piersiową i plecy. Sam nie wiem, jak dotarłem do punktu opatrunkowego. Tam mnie jako tako opatrzone, odłamków wtedy nie usunięto, a część z nich mam do tej pory. Ponieważ kilka dni później Niemcy zaczęli naciskać, padła decyzja o ewakuacji do szpitala na ówczesnej ulicy Krechowickiej. Szpital był niemiłosiernie zatłoczony, zrobiono mi opatrunek i ulokowano na korytarzu.

- Tam zastał Pana koniec powstania?

- Zgadza się. Gdy Niemcy wkroczyli do szpitala potraktowali nas jak kombatantów, chociaż baliśmy się, że nas wystrzelają. Przetransportowano nas do szpitala pod Warszawą i leczono w dobrych warunkach.

- Po upadku powstania udało się Panu odnaleźć rodzinę?

- Po upadku Żoliborza odnalazła mnie w szpitalu matka. Wyszedłem z niego w lutym 1945 roku, gdy wkroczała Armia Czerwona. Wróciłem na trochę do Warszawy, dostałem też odprawę z AK- 500 tys. zł. Była to niebagatelna suma. Jeszcze w 1950 roku zostałem skazany na karę więzienia jako członek AK, ale to już temat na zupełnie inną rozmowę....

Rozmawiał: Tomasz Wojciechowski